

JACEK
KOPROWICZ

OTCHŁAŃ

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Jacek Koprowicz, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: © Ionut Musca/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2380-2

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: AMW • Wrocław

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

1

29 września 2018

Książd Jan Radlicz z tekturowym pudełkiem po butach, które obejmował prawą ręką na wysokości biodra, spacerował po pustym peronie dworca Łódź Fabryczna, uznawanego za najpiękniejszy dworzec kolejowy w Europie. Powoli przemierzał się wzdłuż żółtej linii, zwracając uwagę, żeby jej nie przekroczyć. To przestrzeganie zasad bezpieczeństwa wpajane mu od dzieciństwa tym razem nie było konieczne. Tor był pusty. Z rozkładu jazdy wynikało, że skład regionalnego pociągu do Kuluszek odjedzie z peronu pierwszego dopiero za czterdzieści pięć minut. Ale on nie czekał na ten pociąg. Prawdę mówiąc, po tym, co kilka godzin wcześniej zaszło w domu na rogu ulic Narutowicza i Lindleya, stracił kontrolę nad przebiegiem wydarzeń i nie całkiem rozumiał swoje zachowanie. Bez względu na to, co się miało wydarzyć, jednego nie mógł zmienić. Wynikało to bowiem z wcześniejszych ustaleń. Punktualnie o 19.30 w pałacu biskupim przy placu Świętego Stanisława Kostki zbierała się komisja powołana przez łódzką diecezję w sprawie uruchomienia procesu beatyfikacji Joanny Stawskiej. A on został zobowiązany, aby przed obliczem komisji przedstawić wyniki prowadzonego przez kilka miesięcy śledztwa.

Może właśnie przed tym spotkaniem chciał sobie coś bardzo ważnego przypomnieć? Coś, co wczoraj przeczytał, kiedy

tu wysiadł, a potem taksówką pojechał na ulicę Jaracza 82, coś, co sprawiło, że dziś nie jest tą samą osobą, którą – jak mu się wydawało – był przez siedemdziesiąt lat.

Jeszcze bardziej prawdopodobne było to, że chciał na tym peronie kogoś ponownie spotkać. Kogoś, kto mu pomoże rzucić światło na to, co on już wie. Po kwadransie stracił nadzieję. Nikogo nie było. I nikt się nie pojawił. Poza sprzątaczką, która od kilku minut w oddali zmywała peron.

W dzień na peron pierwszy docierało słoneczne światło, ale wieczorem panował tu mrok. Wystarczyło jednak podejść do ruchomych schodów, aby stanąć w snopach sztucznego światła spływającego z wyższego poziomu, gdzie były hale dworcowe. Nad nimi wisiał ażurowy dach, a wyżej widać było księżyc bliski pełni. Książd wciąż się wahał, czy powinien opuścić peron. Uznał jednak, że to śledztwo o dzień spóźnione nic już nie da, dlatego wszedł na pierwszy stopień ruchomych schodów.

Ze swoim pudełkiem pod pachą wszedł na wyższy poziom. Przemieszczał się bardzo wolno. Nigdzie się nie spieszył. Nie walczył z czasem jak wczoraj, kiedy chciał jak najszybciej dobiec do taksówki; teraz po prostu stał. Obserwował po lewej stronie lśniące chromem i aluminium konstrukcje z ruchomymi schodami, które wiozły pasażerów do hali dworcowej. Na sąsiednich schodach nie było pasażerów. Ale na tych najbardziej oddalonych było tłoczno, bo na peron czwarty przyjechał pociąg z Warszawy, który przywiózł widzów na Light Move Festival.

Po dojechaniu do poziomu kas nie skręcił w prawą stronę, ale ruszył w kierunku ulicy Kilińskiego i w ogromnej hali wmieszał się w tłum zmierzający na uliczny Festiwal Kinetycznej Sztuki Światła, którego hasłem przewodnim w tym roku były „Blaski

Wolności”, związane z setną rocznicą odzyskania niepodległości przez Polskę. Mocno trzymając pudełko po butach, żeby go przypadkiem nie upuścić, został wypchnięty na zewnątrz dworca przez drzwi automatyczne i razem z tłumem znalazł się na rozległym dziedzińcu, nad którym niczym ogromne skrzydło wisiała część dachu. A potem ruszył wzdłuż wysokiej na kilkanaście pięter majestatycznej budowli. Po oddaniu do użytku miała nosić nazwę Bramy Miasta. Tutaj tłum się podzielił. Część ludzi poszła w stronę ulicy Narutowicza. Tam na murze cerkwi Aleksandra Newskiego trwał pokaz barwnych obrazów. Główny nurt ruszył w kierunku ulicy Piotrkowskiej. I tam też podążył ksiądz Jan.

Na głównej ulicy miasta nad głowami tłumnie zgromadzonych widzów biorących udział w festiwalu przelatywał strumień światła wysyłany przez laser ulokowany na placu Wolności. I niczym Prometeusz wiódł ich w kierunku placu Niepodległości, dokąd ksiądz Jan zmierzał. Prowadzony przez świetlną strzałę, mijał kolejne kamienice, których fasady pokrywała feeria barw, nadając im inny wymiar i kamuflując ich prawdziwy wygląd, a to sprawiało, że budynki wypiękniały w ten magiczny wieczór. Ta magia udzieliła się również widzom. Wyposażeni w świetlne atrybuty, wydawali się postaciami z innego wymiaru. Przeważały pulsujące jaskrawymi barwami trójzębne korony osadzone na głowach kobiet i dzieci. Nie ustępowały im fosforyzujące oprawki okularów służące jednocześnie za latarki, a ulokowane na oczach łodzian z XXI wieku, ale także Artura Rubinsteina, który siedział przy swoim fortepianie na wprost domu, gdzie mieszkał przed pierwszą wojną światową. Wiele osób założyło strzeliste uszy elfów mieniące się kolorami tęczy. Niektórzy nieśli miecze świetlne z *Gwiezdnych wojen*. Prym wiodły jednak

przezroczyste kule opasane kolorowymi żaróweczkami, które niesiono ponad głowami na długich żerdziach. Wokół nich wiły się żyłki świecące jak lampki na choinkach w Boże Narodzenie.

Ksiądz Jan, lawirując wśród feerii barw, cały czas się bacznie rozglądał, licząc na spotkanie osoby, której szukał na dworcu. Raz wydało mu się, że ją dostrzegł na wysokości ławki, gdzie przysiadł Julian Tuwim w rozpiętym płaszczu z mosiądzu i takim samym kapeluszu. Okazało się, że to jednak nie ona. W dodatku przepychając się w jej stronę, potknął się i tylko cudem nie upuścił pudełka. Ledwie odzyskał równowagę, przyciągnęła go dudniąca basami muzyka. W jej rytmie wyświetlano obrazy z historii Łodzi, której bohaterkami były kobiety. Barwne kadry filmu rzucano na fasadę kamienicy, w której mieścił się Urząd Miasta.

Kiedy jako kolejne bohaterki „miasta kobiet” pojawiły się młode prządki pochylone nad krosnami w hali Fabryki Włókienniczej im. Obrońców Pokoju, zaczęło padać. Na początku drobny deszczyk nie przeszkadzał widzom w podziwianiu urody włókniaerek z okresu PRL. Po minucie rozpadało się jednak na dobre i tłum błyskawicznie się rozbiegł. Jedni widzowie chowali się w bramach, drudzy wpadali do pizzerii. Część znalazła schronienie w pijalni piwa, inni w McDonalddie. Większość tłoczyła się pod balkonami lub wciskała pod daszki chroniące przed zmknięciem. Ksiądz Jan został na miejscu. Najważniejsze było jego tekturowe pudełko. Bał się, że rozmięknie, woda dostanie się do środka i splucze zachowane ślady. Przytulił pudełko do piersi. Otoczył połamami rozpiętego trenca. I pochylił się nad nim, tworząc naturalny parasol z kapelusza na głowie i własnego ciała.

Deszcz ustał równie nagle, jak się pojawił, po minucie. Ksiądz wyprostował się, a potem powoli rozsunął płaszcz. Aby

dokładnie sprawdzić, co się stało z pudełkiem, obejrzał je ze wszystkich stron. Chciał unieść wieko, na którym w prawym dolnym rogu widoczna była data: 21.07.1948, żeby się upewnić, że zawartość nie uległa uszkodzeniu. Nie zrobił tego jednak, bo na ulicę najpierw pojedynczo, potem grupami wychodzili już widzowie Festiwalu Światła. A on nie chciał mieć świadków. Dlatego schylił się i podniósł z mokrej jezdni świecącą kulę opasaną migoczącymi żarówkami, którą ktoś upuścił w trakcie ucieczki. Nikt się po nią nie zgłaszał. Odczekał chwilę, a potem trzymając w lewej dłoni długą żerdź oplecioną girlandami świateł, a prawą obejmując pudełko, przecisnął się w tłumie i powoli ruszył środkiem Piotrkowskiej. Kierując się smugą światła z lasera, która przelatywała nad jego głową, szedł w stronę ulicy Piłsudskiego. A gdy ją minął, już tylko kwadrans dzielił go od łódzkiej katedry przy placu Świętego Stanisława Kostki.

– Odbierz to od księdza – polecił biskup Teodor Ostrowski.

Biskup przewodniczył komisji powołanej przez diecezję łódzką. Siedział przy biurku zwrócony do pozostałych półprofilem. Członkowie komisji: kanonik Adam Tyszkiewicz, prałat Stanisław Milewski oraz sekretarz biskupa Antoni Urbaniak, podobnie jak ksiądz Jan Radlicz, doktor teologii, zajmowali miejsca za stołem przykrytym zielonym sukniem.

– Proszę mi to dać – poprosił księdza Jana sekretarz.

Starał się nie okazywać niepokoju, bo zachowanie przyszłego postulatora od chwili jego wejścia do gabinetu na piętrze pałacu biskupiego budziło, łagodnie mówiąc, podejrzenie, że jest z nim coś nie w porządku. Sekretarz czuł się niezręcznie, tym bardziej że to on był zwolennikiem wyboru właśnie tego kandydata.

Ksiądz Jan był łodzianinem, co było atutem, bo sprawa dotyczyła Łodzi, ale posługą pasterską od lat był związany ze Szczecinem, dlatego trzeba go było sprowadzić do rodzinnego miasta.

Poza miejscem urodzenia najważniejszym walorem księdza był jego dorobek naukowy. Już w rozprawie doktorskiej zajął się Świętym Jackiem, założycielem zakonu dominikanów na terenie Polski. A po obronie dysertacji doktorskiej głównym tematem jego zainteresowań na Wydziale Teologii Uniwersytetu Szczecińskiego stał się problem świętości. Dlatego sekretarz odetchnął z ulgą, gdy ksiądz Jan bez oporu wręczył mu kule opasaną żarówkami na świecącej żerdzi.

– Wyłącz to – polecił mu biskup.

Młody sekretarz nie wiedział, jak się do tego zabrać, i ksiądz Jan przyszedł mu z pomocą.

– Płaszcz też odbierz – nakazał ponownie biskup.

Ksiądz Jan odłożył na fotelik, z którego miał składać zeznania, pudełko po butach. A następnie zsunął z ramion mokry płaszcz.

– Proszę. – Podał płaszcz sekretarzowi biskupa.

– Powieszę na wieszaku, żeby wysechł? – Sekretarz spojrział pytająco.

Biskup skinął głową i sekretarz zniknął w małym hallu. Kiedy wrócił i zajął swoje miejsce przy stole, ubrany w czarną marynarkę kandydat na postulatora, trzymając na kolanach pudełko po butach, już siedział na fotelu.

– Może ksiądz odłoży też to pudełko? – zaproponował biskup.

– Nie! Nie! – sprzeciwił się stanowczo ksiądz Jan, po czym rozpiął kolaratkę pod szyją, jakby zaczęła go dusić.

Cała trójka duchownych, a szczególnie kostyczny kanonik o podłużnej twarzy i łysej głowie, czekała teraz na reakcję biskupa.

– Eminencjo, proszę wybaczyć, że ośmielam się sprzeciwić... – wyjaśnił ksiądz Jan Radlicz. – Ale to bardzo cenne, jest...

Biskup, czekając na dalszy ciąg wypowiedzi, uśmiechnął się z lekkim grymasem. Jakby w trakcie uśmiechu zabolął go ząb. Wciąż z tym grymasem towarzyszącym mu od rana, gdy zaciął się podczas golenia, co nie było dobrym znakiem, spojrzął na ekran laptopa. Z ekranu obserwowała go zatrzymana w stop-klatce jego własna twarz utrwalona podczas wystąpienia do internautów. Biskup, korzystając z nowych mediów, wystąpił na YouTubie prawie rok temu, dokładnie w wigilię Wszystkich Świętych, aby przestrzec wiernych przed szerzącą się plagą. A teraz tekst spisany ze ścieżki dźwiękowej filmu odtworzonego przez internautów prawie milion razy został mu dostarczony do korekty przez redaktora wydawanego przez episkopat zbioru najważniejszych wystąpień Kościoła. Przebiegł oczyma słowa wstępu: święto halloween to zwyczaj wywodzący się z tradycji pogańskich. Siega czasów celtyckich. Związany z wywoływaniem duchów ludzi i zwierząt. Ze straszaniem. Co gorsza, wiąże się z nim kult szatana. W Polsce mamy ostatnio do czynienia z wyraźną ofensywą pogaństwa... Sięgnął po wieczne pióro ze złotą stalówką. Naniósł korektę: halloween zmienił na Halloween. A szatana na Szatana.

Myśłami był już gdzie indziej. Misja księdza Jana Radlicza budziła nadzieję, że pogaństwo i Szatan zostaną powstrzymane przez emanację świętości. Nie chciał tej nadziei zasnuć czarnymi chmurami przed wysłuchaniem sprawozdania w sprawie beatyfikacji Joanny Stawskiej. Zamknął pióro. Wyłączył ekran laptopa. Zdjął czerwoną piuskę, oznakę piastowanej godności. Dłonią o długich palcach i idealnie przyciętych paznokciach przecesał siwe włosy, które wciąż opadały mu na czoło. I odwrócił fotel

w stronę kandydata na postulatora, który siedział w pewnym oddaleniu na tle okna. Za nim widać było mury katedry. Choć Festiwal Światła tu nie dotarł, oświetlała je pojedyncza smuga z reflektora.

– Co ksiądz ustalili? – Pytanie padło po kilku świszczących oddechach, bo biskup chorował na astmę.

Ksiądz Jan Radlicz na chwilę się zawahał. A potem zaczął mówić.

2

26/27 maja 2018

Cztery miesiące wcześniej nad Łodzią przez całą noc krążyła burza z gwałtownymi opadami deszczu. Nawałnicy towarzyszyła wichura. Napłynęła od strony Niemiec wraz z niżem Thekla. Wiatr o sile huraganu pastwił się nad drzewami. Wyginał je i łamał w świetle błyskawic, przy akordach piorunów wyrывał z korzeniami, aby potem rzucać na zalane wodą chodniki i jezdnie. Jeden z piorunów trafił w drzewo przy placu Świętego Stanisława Kostki i zwałił je w pobliżu katedry.

Huk obudził księdza Jana Radlicza. Leżał na swoim łóżku i wpatrzony w obraz Świętej Anny, kopię słynnego fresku z Faras, na którym Anna zasłania palcem usta, prosząc o zachowanie tajemnicy, długo modlił się do babci Jezusa Chrystusa, aby żywioł opuścił miasto. Być może te modlitwy sprawiły, że o świcie huragan zawrócił na wschód. I zaległa cisza. Trwała do szóstej rano, kiedy ponownie zaczęło wiać. Z każdą godziną coraz szybciej i szybciej. O dziewiątej już z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Mimo to drzewa były teraz bezpieczne. Stało się tak, bo wiatr nie tylko stracił swoją moc, ale zgodnie z prognozami przemieszczał się w pułapie najniższym, to znaczy w paśmie nieprzekraczającym wysokości dwóch metrów mierzonych od nawierzchni ulic. I tylko w tej przestrzeni porywał wszystko, co zdołał unieść.

Nad ulicą Piotrkowską do wysokości parterowych okien wirowały strzępy stron lokalnych gazet z nekrologami tych, których

ciała w cmentarnych kaplicach czekały na pochówek. Różnej wielkości plastikowe butelki po wodzie mineralnej. Gazowanej i niegazowanej. Puste puszkę po coca-coli. Papierowe tacki wywiane z pojemników na śmieci. Wyniesione wcześniej z KFC i McDonalda, z przyklejonymi ketchupem resztkami frytek, zataczały teraz kręgi jak spodki UFO. Nad nimi unosiły się reklamy agencji towarzyskich z obrazkami obnażonych ciał lokalnych cór Koryntu. Niesione powiewami wiatru nad najślynniejszą ulicą miasta, dotarły aż do placu Świętego Stanisława Kostki. Tu rozproszyły się wokół murów katedry niczym stado wystraszonych ptaków. Dlatego ksiądz Jan Radlicz, który z powodu burzy nie przespał całej nocy, wprowadzając krople do oczu, widział ich odbicia w lustrze zawieszonym przy oknie. Z tym obrazem odchylił głowę. Potem zacisnął powieki, żeby krople nie wypłynęły, co i tak nie zapobiegło małemu wyciekowi, bo dwie łzy pojawiły się na policzkach. Stał je wierzchem dłoni i wyszedł ze swojego pokoju w domu parafialnym. W jadalni na parterze o tej porze nie było już nikogo. Usiadł przy długim stole na swoim stałym miejscu i walcząc z pokusą potarcia obu oczu, co z powodu uczulenia na kwitnienie traw groziło zapaleniem spojówek, czekał, aż siostra Genowefa poda mu śniadanie. Wiedział, co dostanie. Po wczorajszej kolacji zamówił dwa jajka na miękko. Ulubiony smak z dzieciństwa zapamiętany dzięki babci. W tamtych czasach ostrzegano przed zbyt częstym spożywaniem jajek. Ale ostatnio okazało się, że te ostrzeżenia były jednak niezasadne. I jajka uznano za tak pożyteczne dla organizmu człowieka, że także płęć męska bez obaw o wiadome skutki uboczne może jeść je codziennie.

Siostra Genowefa najpierw postawiła przed nim duży kubek kawy z mlekiem. Potem zdjęła z tacy biały talerzyk. Stały na

nim dwa kieliszki. Dopiero wtedy na stole pojawił się mały koszyczek z wikliny, przykryty lnianą serwetką. Po chwili obok koszyczka siostra postawiła drugi mały talerzyk. Leżała na nim pachnąca świeżością bułeczka, już przekrojona i posmarowana masłem.

Zawsze gdy lokował w kieliszku ciepłutkie jajko, które było symbolem ludzkiej duszy, przeżywał podobne emocje. Od czasu babci nikomu nie udawało się doprowadzić żółtka do idealnej konsystencji i dopiero po wielu latach okazało się, że siostra Genowefa też to potrafi. Mimo to kiedy teraz starą metodą obtłukiwał jajko łyżeczką, a potem delikatnie oddzielał skorupki od białej kopuły, obawiał się, że spotka go zawód. Nie przedłużając tej obawy, posolił kopułkę szczyptą soli i pieprzu. A potem zanurzył w niej czubek srebrnej łyżeczki. Niszcząc doskonałą formę, oddzielił białko od żółtka i przeniósł do ust. Żuł je powoli, wpatrując się w żółtko. Wyglądało perfekcyjnie. Ani za miękkie, ani za bardzo ścięte, błyszczało złotopomarańczowym blaskiem. Ponownie posolił je szczyptą soli wymieszanej z pieprzem i nabrał na łyżeczkę. Zacisnął powieki, gdy go próbował, bo przywołało odległą przeszłość. Znowu był małym chłopcem i oświetlony smugą światła siedział na krześle w kuchni mieszkania na rogu Narutowicza i Lindleya. A babcia, obserwując go ze swoim promiennym uśmiechem, siedziała po drugiej stronie stołu. Właśnie nabrała aluminiową łyżeczką kolejną porcję jajka i wsuwała mu do ust, gdy zadzwonił telefon. Obraz natychmiast zgasł, a on walczył z pokusą nałożenia kolejnej porcji, bo komórka w kieszeni czarnej marynarki nadal dzwoniła.

– Może ksiądz kanonik jednak najpierw zje – zaproponowała łagodnie siostra Genowefa.

Nie posłuchał jej. Odłożył łyżeczkę. Wyjął z kieszeni marynarki telefon i spojrzął na numer, który się wyświetlił.

– Tak, zaraz będę – zapewnił po odebraniu połączenia.

Sprawa była nagła. Po niespodziewanej propozycji spotkania, na które czekał od kilku tygodni, należało działać natychmiast. Świadek mógł się rozmyślić. Na ekranie była 8.45. Miał kwadrans. To za mało, żeby dokończyć śniadanie. Mamrocząc pod nosem przeprosiny, wstał i wyszedł z jadalni. Wbiegł po schodach na piętro. Na szczęście nie zamknął drzwi na klucz. W swoim pokoju w pośpiechu nałożył szary prochowiec na czarną marynarkę z koloratką pod szyją. Sięgnął po czarną teczkę z laptopem i pilśniowy kapelusz, po czym ponownie nie korzystając z windy, zbiegł po schodach, aby po kilku sekundach znaleźć się przed domem parafialnym.

W pierwszej fazie przemieszczania się księdza Jana przez plac Świętego Stanisława Kostki wichura potraktowała kapłana z dużą wyrozumiałością. Nie zdmuchnęła mu z głowy kapelusza z czarnej pilśni, choć miała wyborną okazję, aby go rzucić wprost pod koła tramwaju linii 11, który właśnie jechał ulicą Piotrkowską. Nie wywiała też czarnej teczki wsuniętej pod ramię, rezygnując z przyjemności rozbicia laptopa o granitowe płyty chodnika, gdy w swoim smartfonie instalował mikrofon flexible mini capsule, który wraz z urządzeniem ułatwiającym nagrywanie dźwięku znakomicie spisywał się podczas rejestrowania rozmów. Cierpliwie czekała, aż znajdzie się na wysokości Grobu Nieznanego Żołnierza. Wtedy go osaczyła.

Plan miała bardzo prosty. Pierwszy wariant zakładał podcięcie księdzu obu nóg. Drugi – uniesienie ciała kilka centymetrów ponad powierzchnię chodnika. W obu finał miał być taki sam:

groźny upadek zakończony gwałtownym uderzeniem głową księdza i jego plecami o granitowe podłoże. Okazało się jednak, że w misternym planie nie ma najważniejszego ogniwa. Brakuje odpowiedniej prędkości. Wichura, mimo wysiłków, nie była w stanie tak się rozpędzić, aby przekroczyć szybkość stu czterdziestu kilometrów na godzinę, co w nocy jej się udało, i stać się orkanem, a tym samym złamać obowiązujące na naszej planecie prawa fizyki odkryte przez Izaaka Newtona.

Dlatego wiatr zmienił taktykę. Postanowił wdrzeć się pod prochowiec z gabardyny na tyle wysoko, aby zadrzeć obie poły płaszcza i szczelnie okręcić je wokół głowy, przez co postulator straciłby orientację w przestrzeni. I poszedłby w inną stronę, niż pierwotnie zamierzał. Ale ksiądz Jan uprzedził ten manewr. Instynktownie się pochylił, ryzykując upuszczenie aktówki, po czym obiema rękoma niczym Marilyn Monroe w słynnej scenie z filmu *Słomiany wdowiec* chwycił za poły prochowca i z całej siły pociągnął je w dół. Na tym nie poprzestał. Aby nie stracić równowagi, zaczął kręcić wokół swojej osi piruety, balansując całym ciałem. Wyglądało to komicznie, ale wichury ten zabawny obrazek nie wprowadził w dobry humor. Odwrotnie, rozjuszył ją.

Rozwścieczona kolejnym niepowodzeniem zaczęła zdmuchiwać w kierunku księdza okoliczne kałuże, które po rannej ulewie rozlewały się na granitowych płytach ułożonych przed katedrą. Woda niesiona podmuchami wiatru spływała na lśniące od pasty kiwi czarne buty marki Ecco, próbując je zatopić. To też się nie udało.

Ksiądz Jan w przemoczonych skarpetkach, butach pełnych wody, ale w kapeluszu wciąż na głowie i z aktówką pod pachą

parł na spotkanie. I krok po kroku zbliżał się do postaci papieża Jana Pawła II.

Temperatura powietrza w to szare łódzkie popołudnie, równie szare jak płaszcz księdza Jana, nieco przekraczała dwadzieścia stopni w skali Celsjusza. Do tego padał deszcz, a właściwie deszczyk. Właśnie zbrała się z wiatrem. I osiadając na okularach księdza kanonika w owalnych czarnych oprawkach, oblepiał szkła gęstą siecią wodnistej pajęczyny. I dlatego kiedy duchowny zbliżył się do odwróconej do niego plecami lekko przygarbionej postaci Jana Pawła II, odniósł wrażenie, że odlany z ciężkiego mosiądzu płaszcz papieża unosi się w podmuchach wichury. A jego poły falują.

Po kilku krokach ksiądz Jan minął pomnik papieża i znalazł się na wysokości drzwi do katedry zbudowanej z cegły o takiej samej barwie jak katedra w Ulm, katedry, którą łodzianie, za mało wrażliwi, aby docenić jej średniowieczny rodowód i łańcuch kanon walory estetyczne, kojarzyli wyłącznie z kolorem jajeczniczy na maśle.

Ksiądz uniół kapelusz z czarnej pilśni, bo na wprost drzwi świątyni znajdował się ołtarz z Przenajświętszym Sakramentem, tak samo jak gmach katedry ufundowany przez tutejszych przemysłowców na początku XX wieku. I z kapeluszem nad głową, walcząc z podmuchami wiatru, przemieszczał się w kierunku przewróconego drzewa. Dorodna lipa przy ulicy Piotrkowskiej została w nocy po uderzeniu pioruna wyrwana przez wiatr i rzucona w miejsce, gdzie każdego roku na święto Bożego Narodzenia budowany był tradycyjny żłobek.

Dopiero teraz okazało się, że poza księdzem na placu Katedralnym jest też ekipa złożona z trzech pracowników służb

porządkowych. Wszyscy byli ubrani w jednakowe nieprzemakalne peleryny w kolorze zbliżonym do barwy kubańskich pomarańczy zapamiętanych z dostaw na święta w epoce PRL. Zgromadzeni pod figurą Chrystusa naturalnej wielkości przygniecioną ciężarem krzyża zapewne spierali się o metodę usunięcia przewróconego drzewa.

Nie był tego pewien. Mógł się tylko domyślać treści ożywionej gestykulacją rozmowy, bo głośny łopot peleryn targanych wiatrem wszystko zagłuszał. Rozemocjonowani mężczyźni poruszali się podczas rozmowy, częściowo zasłaniając płaskorzeźbę z metalu umieszczoną pod figurą Chrystusa. Nie przeszkadzało mu to. Znał na pamięć utrwaloną tam scenę. Jej bohaterem był ksiądz Ignacy Skorupka na polu chwały w trakcie tak zwanego Cudu nad Wisłą. Podczas decydującej o losach świata bitwy z bolszewikami 15 sierpnia 1920 roku ksiądz prowadził natarcie polskiej piechoty i kawalerii z wysoko uniesionym nad głową krzyżem, który w chwili śmierci wyfrunął mu z dłoni.

Po męczeńskiej śmierci księdza Ignacego na polu bitwy Kościół chciał go wynieść na ołtarze. Niestety, pojawiły się głosy, a potem znaleźli się nawet świadkowie, że było inaczej. Twierdzili pod przysięgą, że ksiądz Ignacy nie niósł krzyża w czasie ataku polskiej kawalerii, ale zginął poza polem bitwy. I że to w trakcie udzielania rannemu żołnierzowi ostatniego namaszczenia padł od przypadkowej kuli. Z powodu sprzecznych zeznań procedura beatyfikacji została zaniechana. Ksiądz Jan stał teraz przed podobnym dylematem. W ramach misji, której podjął się na życzenie diecezji łódzkiej, miał oddzielić mit, który otacza postać harcerki Joanny Stawskiej i jej heroiczny czyn, od prawdy. W czasach, kiedy powszechnie podważano autorytet

Kościoła i obciążano go najcięższymi grzechami, nie można było ryzykować niepowodzenia w tak ważnej sprawie.

Wciąż walcząc z powiewami wiatru, ksiądz doszedł do przejścia dla pieszych na rogu placu Świętego Stanisława Kostki i ulicy Piotrkowskiej. Tu stanął, bo właśnie zapaliło się czerwone światło. W oczekiwaniu na zmianę światła, przytrzymując poły prochowca, wpatrywał się w parter narożnego budynku, gdzie mieścił się od dawna zamknięty zakład fotograficzny.

Należał do ojca świadka. Ksiądz Jan od kilku tygodni mieszkał po drugiej stronie placu i przechodził tędy niemal codziennie, lecz na zanedbaną posesję ze szklanymi gablotami wypełnionymi zdjęciami z komunii z czasów, gdy zakład działał, po prostu nie zwracał uwagi. Teraz przyglądał się temu miejscu uważnie. Ale wkrótce to nie szklane gabloty skupiły jego zainteresowanie, lecz metalowe drzwi pomalowane olejną farbą na fioletowo. A nad nimi duże litery o nietypowej czcionce ułożone w szyld: Foto Atelier. Choć drzwi od dawna nie otwierano, metalowa sztaba dodatkowo zabezpieczająca atelier przed włamaniem wisiała wzdłuż framugi. Dodatkowym potwierdzeniem, że brat Stefanii Raweckiej, który tyle razy go zwodził, teraz naprawdę na niego czeka, był srebrny chevrolet lacetti. Stał w głębi podwórza.

3

27 maja 2018

Stefania Rawecka, ubrana w czarną spódniczkę i białą bluzkę, patrzyła na księdza Jana Radlicza z tajemniczym uśmiechem. Lewa strona jej twarzy, podświetlona delikatnie rozproszoną smugą popołudniowego słońca, była nieco jaśniejsza. Prawa pozostawała w cieniu. Ale ten cień nie przeszkadzał, aby światło dotarło do oczu i błyszczało w ich źrenicach.

Zdjęcie było tak małe, że mieściło się wewnątrz otwartej dłoni księdza. Na oświetlonym policzku rudowłosej dziewczynki, podobnie jak na tym oświetlonym, widoczne były wszystkie szczegóły, a nade wszystko uroczy dołeczek i charakterystyczne piegi. Tego dnia wiał delikatny wiatr, co było widoczne na zdjęciu. Spódnica z lewej strony uniosła się nieco wyżej, odsłaniając białe pończochy.

– Dwa dni wcześniej skończyła czternaście lat – poinformował brat Stefanii. – Dokładnie dziewiątego maja czterdziestego ósmego roku. Trzecia rocznica zwycięstwa nad Hitlerem. To było wtedy wielkie święto. A dziś... – zachichotał – dziś dziewiątego maja tylko Sowietci w Moskwie obchodzą.

– To pana ojciec zrobił to zdjęcie?

– A kto? – Chyba uznał pytanie księdza za prowokację, bo w jego głosie dało się wyczuć agresję. – W parku Staszica... – dodał i westchnął.

Po czym odwrócił się i zaczął chodzić.

– W przeddzień... – dodał po kilku krokach.

Ksiądz słyszał, jak chodzi po skrzypiącej podłodze pokrytej warstwą kurzu w butach na skórzanym podbiciu.

– W przeddzień bierzmowania?

– Po drugiej stronie jest data. – Głos Raweckiego złagodniał.

Ksiądz Jan odwrócił zdjęcie w otoczce dwumilimetrowego marginesu bieli zwieńczonego drobniutkimi ząbkami. Na rewersie zapisano piórem: 11 maja 1948.

– Mam podobne. Też z tego samego dnia – wahał się przez chwilę. – Dostałem od Basi.

– Basi? – Młodszy brat Stefy zatrzymał się raptownie, jakby go o coś podejrzewał.

– Basi Kaniewskiej.

– To się zgadza. Tego dnia miały sesję w parku. Mieszkaliśmy obok. Wtedy. Dopiero potem...

Ksiądz obserwował oddalającą się sylwetkę starego mężczyzny w jasnej kurtce. Witold Rawecki mimo swoich lat wciąż trzymał się prosto.

– Nie jestem pewien... – Zaczął wymachiwać dłonią o jasnej skórze pokrytej siecią piegów. – Nie jestem tego pewien... – powtórzył.

Wyglądało to tak, jakby ruch dłoni miał mu pomóc przywołać obrazy z bardzo odległej przeszłości...

– To było chyba osiem lat po tym, jak to się stało...

– Zapiszę naszą rozmowę. – Ksiądz włączył nagrywanie. –
Mogę?

Rawecki, mijając studyjny aparat fotograficzny na drewnianym statywie pamiętający lata pięćdziesiąte, wyraził zgodę ponownym machnięciem ręką.

– Ojcu udało się kupić ten lokal. I przenieść tu zakład fotograficzny. A my, to znaczy mama, Stefa i ja, mieszkaliśmy już wtedy w kamienicy na Kopernika.

Podszedł do jednego z żarowych reflektorów i go włączył. Po chwili snop żółtego światła, w którym konwulsyjnie drgały drobinki kurzu, oświetlił rząd szafek ze sprzętem fotograficznym. Otworzył jedną z nich i czegoś w niej szukał.

– Nie było w mieście lepszego miejsca. Blisko katedra. Duży ruch... – przerwał, bo wyjął z szafki małoobrazkowy aparat. – Przedwojenna leica. Ten Niemiec, który miał to atelier od lat dwudziestych, dużo sprzętu zostawił. Pan Jałoszyński to wszystko po nim przejął, jak Niemiec po wojnie z Łodzi uciekł, ale niedługo się tym cieszył. Na co umarł? Chyba coś z sercem... – Leica nie była tym, czego szukał, więc ulokował ją z powrotem w szafce, po czym się zawahał: – Może ksiądz ją chce?

– Dziękuję. Mam aparat w telefonie. Bardzo duża rozdzielczość. Ponad dwadzieścia milionów pikseli...

– Nie musi się ksiądz tłumaczyć – przerwał i ostatecznie ulokował leicę w szafce. – W tamtych czasach to była żyła złota...

– Nie bardzo rozumiem.

– Mówię o lokalizacji atelier.

– Ach, tak... – Wreszcie to dotarło do księdza Jana.

– Tu jesteś.

Rawecki nareszcie znalazł to, czego szukał, i powoli wrócił po skrzypiącej podłodze.

– Ma ją na zdjęciu.

Popukał palcem w środek fotografii ze Stefanią. Na jej szyi widoczny był cienki skórzany pasek zwieńczony otwartym futerałem z aparatem fotograficznym, który wisiał na wysokości brzucha.

– To ta exakta – stwierdził, wręczając księdzu małoobrazkowy aparat.

Ksiądz Jan popatrzył na exaktę, którą trzymał w dłoni, a potem na aparat utrwalony na czarno-białym zdjęciu razem ze Stefą. Nie miał absolutnej pewności, że to ta sama. Dla pewności przydałoby się duże powiększenie fotografii zrobionej w parku. I obejrzenie szczegółów pod lupą. To, co wydaje się takie samo, często wcale takie nie jest. Doskonale znał to z doświadczenia.

– Dostała od ojca z okazji bierzmowania. Kupił ją w Foto-optyce na talon. Inaczej nie można było tego cacuszka dostać.

Obserwował twarz księdza i zrozumiał, że ten mu nie ufa.

– Niech ksiądz powącha. – Wziął do ręki aparat, otworzył pokrywę i podsunął exaktę księdzu pod nos. – I co ksiądz czuje?

– Zapach wilgoci.

– Teraz mi ksiądz wierzy?

Czekał tak długo, aż ksiądz potwierdził kiwnięciem głowy.

– Wtedy też ją miała?

Brat Stefanii kiwnął głową. Był znacznie niższy. Ksiądz Jan widział na jego głowie pasma przerzedzonych włosów. Mimo podeszłego wieku wciąż rudych. Do tego piegi licznie rozsiane na placach łysiny.

– Stefa od dziecka kochała fotografię. Ja odwrotnie. Nie znoślem jej. I tego zapachu. – Gwałtownie otworzył drzwi do ciemni. – Czuje ksiądz? On tu wciąż jest.

Ksiądz przez chwilę wąchał. W powietrzu unosił się zapach chemii. Wywoływacze, utrwalacze, formalina.

– Tego zapachu nie da się zlikwidować – zawahał się. – Może gdyby okna nie zostały zamurowane i zrobiłoby się przeciąg? –

Świsnął ustami, imitując nagły powiew przeciągu, i zatrzasnął drzwi. – Może wtedy?

Pytanie zostało bez odpowiedzi.

– Wszystko tu jest tak jak w dniu śmierci ojca – poinformował Rawecki.

– Kiedy zmarł?

– W osiemdziesiątym dziewiątym. Szczęście miał. Nie dożył tej, za przeproszeniem, rewolucji technologicznej. Teraz już nikt takich nie używa. Wszędzie cyfra.

Ksiądz uśmiechnął się. Przez uprzejmość. Ale też, bo nie chciał swojego rozmówcy urazić. Rozumiał, że musi być wyrozumiały, aby osiągnąć cel. Nie może chodzić na skróty. Niczego przyspieszać, przerywać wynurzeń. Choć nie po te wynurzenia tu przyszedł.

– Wie ksiądz, czytałem w internecie, że we Francji rodzice syna, który zginął podczas pierwszej wojny światowej ... – Wyjął paczkę papierosów. Jednego wsunął w usta. – Ksiądz pali?

Ksiądz Jan zaprzeczył, gdy brat Stefanii zapalał papierosa zapalniczką.

– No więc ci ludzie sprzedali swój dom. Pod warunkiem że nic nie można zmieniać w jednym pokoju. Zawarli ten punkt w umowie. Po stu latach następni właściciele, chyba już – zastanowił się – trzeci z kolei, zajrzeli do zamkniętego pokoju. I co się okazało?

Ksiądz Jan nie wiedział.

– Wszystko było tak jak w tysiąc dziewięćset czterem lat. Bo to był pokój tego syna, który zginął. Podobno zapis ma obowiązywać przez pięćset lat. Wyobraża sobie to ksiądz? Ja też zrobię taki zapis. Wszystko tu ma pozostać nietknięte przez pięćset lat.

Wybuchnął śmiechem i zakrztusił się dymem. Ksiądz czekał, aż przestanie kaszleć.

– Stefa tak kochała fotografować, że chciała zdawać do Szkoły Filmowej. Otworzyli ją wtedy. Na Wydział Operatorski. Była w siódmej klasie, a już wiedziała, kim chce być. Ja też wiedziałem. W operetce chciałem śpiewać. I śpiewałem: „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki, całować chcę”... – Przerwał występ z powodu chrypy. – Słyszysz ksiądz? Struny głosowe mi wysiadły. Nerwy... Gównon nerwy. Za dużo piłem. I paliłem... – Gwałtownie zgasił papierosa i wrzucił niedopałek do metalowego pojemnika na śmieci.

– Wtedy też ją miała? – Limit czasu na intymne wynurzenia się wyczerpał i ksiądz Jan, pokazując exaktę, wrócił do sedna wizyty.

– Mówiłem to księdzu. I to, że do ostatniej chwili robiła zdjęcia. – Wskazał palcem. – Tą exaktą.

– Ja właśnie...

– Doskonale wiem, po co ksiądz tu jest. – Odebrał księdzu aparat. – Nie pozwoliła jej otworzyć. Ojciec potem też nie chciał. Aż wreszcie otworzył... – westchnął. – To się stało kilka miesięcy po jej śmierci... – Brat Stefanii gwałtownie zamknął exaktę.

– I wywołał film – podpowiedział ksiądz Jan.

– I wywołał film.

– Pan mnie zapewniał, że znalazł ten negatyw.

– Bo znalazłem.

– Gdzie jest?

– Był w jednym z tych pudełek... – Odślonił czarną kotarę z pluszu ze zgrzytem, bo wisiała na metalowych kółkach przytwierdzonych do ramy w suficie, wyzwalając kolejne obłoki kurzu, i wskazał na pulpit.

- Był?
- Jest. Nie pamiętam w którym.

Obaj podeszli do pulpitu. Leżały na nim metalowe pudełka. Służyły do przechowywania trzydziestopięciomilimetrowych negatywów. Wcześniej zostały wyjęte z szafek. Ich długi rząd z po-otwieranymi drzwiczkami w szarym kolorze wisiał nad pulpitem.

- Albo w jednym z tych albumów z negatywami.

Pochylił się. Z szuflad pod pulpitem wyjął pozółkłe albumy z negatywami i rzucił na pulpit. Powstała bezładna sterta.

- Te już przejrzałem. - Wskazał pudełka. - Może razem poszukamy? - zaproponował. - Wtedy szybciej znajdziemy.

Kolejno otwierali pudełka. Nie było w nich negatywu z to-
pieli. Potem strona po stronie przejrzeni klasery z pociętymi negatywami. W każdej przegrodzie było sześć klatek. Oglądali pod lupą, klatka po klatce.

- Mam go - szepnął brat Stefy. - Tylko ostrożnie. Dla mojego ojca był jak relikwia - ostrzegł, wręczając pierwszych sześć klatek pociętego negatywu, który wyjął z pozółkłego albumu.

„To było starannie wyreżyserowane - podpowiedział księdzu Janowi wewnętrzny głos. - On na pewno wiedział, że znajdzie negatyw w tym albumie”.

A potem usłyszał bicie serca. Było tak głośne, że zagłuszyło głos. To biło jego własne serce. Do tego doszło pulsowanie krwi w żyłach nabrzmiałych na skroniach. Bał się wylewu. Był pod stałą kontrolą kardiologa i chirurga naczyniowego. Poza migotaniem zastawek i problemem z płytkami krwi ostatnio pojawiło się podwyższone ciśnienie. Sięgało stu osiemdziesięciu. Teraz na pewno było wyższe. Mimo to, przeglądając kolejne klatki, próbował zapanować nad emocjami. I choć obrazki na kolejnych

klatkach były nierozpoznawalne, bo z negatywu spłynęła emulsja, wierzył, że stanie się cud i znajdzie choć jedną nieuszkodzoną klatkę, która posłuży za dowód.

– Tu nic nie ma... – poddał się.

– No, nie ma – przyznał brat Stefanii. – Proszę teraz to obejrzeć....

Pod lupą oglądał kolejne klatki. Efekt był podobny. Została ostatnia, szósta klatka. Tu obrazek nie spłynął. Był rozpoznawalny.

– Dlaczego właśnie z tej klatki emulsja nie spłynęła?

Brat Stefy tego nie wiedział, dlatego wzruszył ramionami.

– Przecież cały negatyw był w wodzie.

– Może dlatego, że to zdjęcie zostało wcześniej zrobione. I nie może być dowodem w sprawie beatyfikacji Joanny – wyjaśnił Rawecki.

Ksiądz Jan ponownie obejrzał pod lupą ostatnią klatkę negatywu. Była na niej dziewczynka sfotografowana od strony jeziora. Stała na molo.

– Basia – szepnął.

– Tak, to Barbara Kaniewska – potwierdził brat Stefanii. – Może ponownie powinien się ksiądz z nią skontaktować i pokazać jej to zdjęcie?

Ksiądz Jan nie po to przyszedł na spotkanie, żeby mówić o szczegółach prowadzonego śledztwa. I zdradzać, kim jest dla niego Basia, oraz wyjaśniać, dlaczego nie można się z nią skontaktować.

– Ojciec próbował zrobić z nich odbitki? – Pominął wątek Basi. – Może na powiększeniach coś widać? – Przypomniał sobie sceny z filmu Antonioniego *Powiększenie*.

Brat Stefanii pokręcił głową.

– A może pan je zrobił?

Brat Stefanii ponownie pokręcił głową.

– No tak, przecież pan nie cierpi fotografii.

– Coś jednak zrobiłem...

– Co?

– Rok? Może dwa lata temu...

– Ale co pan zrobił?

– Dałem je wszystkie do zeskanowania. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął płytkę w białej kopercie.

– Oglądał je pan?

– Nie. – Wręczył księdzu płytkę. – Niech ksiądz ją weźmie i u siebie obejrzy. Tu nie ma na czym.

– Jest na czym.

Ksiądz Jan z czarnej skórzanej aktówki wyjął laptop z czternastocalowym ekranem. Włączył, a potem umieścił w nim płytkę.

– Może ksiądz jednak zapali? – Rawecki znowu podsunął paczkę z papierosami. – Jednego.

Ksiądz Jan nie odmówił. I oczekując na pojawienie się pierwszego obrazka ze skanu, obaj zapalili camele.

– Gdyby ojciec nas zobaczył... – Brat Stefanii zachichotał. – Tu nie wolno było palić. Raz mnie przyłapał z papierosem i tak się wściekł...

– Jest!

Na ekranie laptopa pojawił się skan pierwszej klatki filmu. A potem następne. Same rozmazane plamy. Nic, co mogło być dowodem w sprawie beatyfikacji Joanny. Tylko ostatnia klatka, ta z Basią Kaniewską na molo, była na tyle czytelna, że harcerkę dało się rozpoznać.

– Basia na pewno wszystko widziała – odpowiedział brat Stefanii.

Ksiądz Jan starł z czoła strumyczki potu wypływające spod kapelusza. Tyle nadziei pokładał w tym filmie. I nic. Znowu był w punkcie wyjścia.

– Mówię, że Basia na pewno wszystko widziała.

– Tak... – Ksiądz ponownie wytarł pot z czoła, tym razem chusteczką. – Od dawna próbuję się z nią skontaktować...

– Odmawia?

– Mhm... – Nie zamierzał wyjaśniać, że Basia Kaniewska, jego przyrodnia siostra, cierpi na chorobę Alzheimera i kontakt z nią od lat jest praktycznie niemożliwy.

– Podaje powód?

Ksiądz Jan zaprzeczył.

– Boi się.

– Czego? – zapytał ksiądz z zaskoczeniem. – Czego się boi?

– Wspomnień. – Dla Raweckiego było to tak oczywiste, że się zdziwił, jak można tego nie wiedzieć. – Wie ksiądz, że Stefa nigdy o tym nie mówiła.

Ksiądz Jan obserwował Raweckiego z uwagą w nadziei, że dowie się czegoś ważnego.

– I że potem nie zrobiła ani jednego zdjęcia? – Westchnął. – A tak kochała fotografię...

– Może prowadziła pamiętnik? – Ksiądz Jan chwycił się ostatniej szansy, bo wciąż miał niejasne przeczucie, że Rawecki wie znacznie więcej i wciąż nie mówi mu całej prawdy.

– Pewnie tak. One wtedy wszystkie miały pamiętniki. Jak go odnajdę, to księdza zawiadomię – powiedział, kończąc rozmowę.

Intuicja, że rudzielec nie mówi całej prawdy, nie zawiodła księdza Jana, bo gdy tylko ten opuścił nieczynne od lat Foto

Atelier, brat Stefanii wsiadł do stojącego na podwórzu samochodu, a następnie przejechał siedemnaście kilometrów, aby dotrzeć do letniskowej wsi Justynów. Tu zostawił auto na rozmiękłym podjeździe, bo wciąż padało, przed dawnym domem Obiedzińskich. Następnie włożył pelerynę z kapturem, otworzył bagażnik, z którego wyjął dwie wędkę, i okrążając staw, dotarł do drewnianej kładki prowadzącej na małą wyspę. Tu miało swoją bazę Towarzystwo Wędkarskie „Marysin”. Członkom towarzystwa przysługiwały stałe stanowiska przy drewnianym podejściu. Jedno z nich było zajęte przez Józefa Szumskiego. Ten niemal dziewięćdziesięcioczeroletni mężczyzna, który nadal świetnie się trzymał, bo jak twierdził, przez całe życie pracował w plenerze, siedział na rozkładanym krześle i obserwował spławik, który wciąż tańczył po powierzchni wody pokrytej grubą rzęsą.

– I tak jest od kwadransa, kurwa... – syknął, bo staremu śledczemu z pionu kryminalnego w dawnej Milicji Obywatelskiej z trudem przychodziło formułowanie zdań bez tego słowa posiłkowego. – Chciałabym i boję się – zachichotał.

Witold Rawecki zajął miejsce na sąsiednim foteliku i sięgnął do wypełnionego piaskiem słoika po dżdżownicę.

– Wyznaczyli postulatora.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– O tym... – brat Stefanii powoli nadział robaka na haczyk – że Kościół postanowił z Joanny zrobić świętą. – Zamachnął się i zarzucił wędkę.

Ledwie spławik pojawił się na powierzchni stawu, Szumski zaczął kasłać. Jego astmatyczne ataki kaszlu były nie do opanowania. Próbował go stłumić dłonią, ale to nic nie dało. Wprost przeciwnie. Zawsze wtedy, żeby nie płoszyć ryb, podrywał się

z fotela i biegł w głąb wyspy. Tak zrobił i teraz. Wyspa nie była rozległa. Dwadzieścia? Może dwadzieścia pięć metrów. Ale to wystarczało, aby wysokie olchy, niczym rząd parawanów, nieco stłumiły ten dychawiczny charkot.

Stał na skraju wyspy wtulony w gruby pień olchy, co chwilę odrywając od niego plecy i ponownie przywierając, i cały dygotał. Miał wrażenie, że wraz z nim drży całe drzewo. Z mokrych gałęzi i liści obficie ciekły grube krople wody, spływając po jego kapturze i bębniąc po ramionach okrytych peleryną. Po dwóch minutach udało mu się zapanować nad rżężącym oddechem. Kaszel powoli słabł. Teraz tylko od czasu do czasu, kiedy wydawało się, że już ostatecznie wygasł, nagle wybuchał, dudniąc jak z głębi studni. Wreszcie umilkł. Wtedy wróciło tamto wspomnienie z 15 lipca 1948 roku, kiedy w środku nocy w jego mieszkaniu przy ulicy Narutowicza zadzwonił telefon.

Towarzysz Loga-Sowiński wezwał go do Komitetu Wojewódzkiego PPR przy placu Komuny Paryskiej. Tam dostał polecenie. Przyszło ze stolicy. Od samego premiera Józefa Cyrankiewicza. Wiedział, co to znaczy. Sprawcy mają być schwytani, postawieni przed sądem i przykładowie ukarani, a ciała ofiar przewiezione do Łodzi. Tu miała się odbyć ceremonia pogrzebowa rangi państwowej, taka, jakiej miasto jeszcze nie widziało. Dlatego już o świcie siedział w pobiedzie oddelegowanej z komitetu wraz z kierowcą. I czekał, aż wszyscy rodzice, którzy jadą nad jezioro Gardno, aby rozpoznać ciała córek, wsiądą do fiata 666N. Ten sam autobus zawiózł harcerki na obóz. Teraz miały nim wrócić. Na szczęście nikt z rodziców nie zemdlał i wsiadanie odbyło się bez zakłóceń. Najgorsze miało dopiero nastąpić. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po ósmej, gdy autobus ruszył spod

gmachu szkoły Czapczyńskich, w której uczyły się wszystkie harcerki. Po minucie oni też ruszyli. Kiedy dojechali do ulicy Kilińskiego, znowu przeniósł się do 2018 roku. I postanowił wrócić na pomost.

Tu Rawecki udawał, że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, nadal siedział na swoim foteliku i obserwował spławiki.

– Dziś nie biorą – poinformował Szumskiego, gdy ten opadł na fotel.

– Zaczęło się – szepnął Szumski i sięgnął do swojej torby. – Zaczęło się, kurwa – dodał, po czym wyjął zębami korek z ćwierćlitrowej butelki czystej.

Wypił porządny łyk i podał butelkę bratu Stefanii.

4

2 czerwca 2018

– Ty Żydówko! Żydówko!

Elżbieta, przyrodnia siostra Barbary Kaniewskiej, odstawiła z impetem czajnik z gorącą wodą, co doprowadziło do reakcji łańcuchowej. Wypełniona niemal po brzegi filiżanka z miśnieńskiej porcelany przewróciła się, trafiła w filiżankę stojącą obok, a ta spadła z blatu i rozbiła się na biało-czarnej posadzce. Elżbieta z furią wypadła z kuchni.

– Słyszysz, co do ciebie mówię! Masz tam wrócić!

Basia tak głośno krzyczała w dawnej sypialni rodziców, że Elżbieta mimo problemu z chodzeniem – jej lewe kolano wymagało szybkiego zabiegu chirurgicznego – pospieszyła na ratunek. Nie rozumiała, co się stało, bo przecież Basia, od kilkunastu lat chora na alzheimera, w zasadzie nie mówiła. Elżbieta przemknęła przez mały gabinet z balkonem na podwórze i przez otwarte drzwi wbiegła do pokoju stołowego. Tu skręciła w prawo i przez kolejne otwarte drzwi wpadła do sypialni.

– Ty Żydówko! Wracaj tam!

Basia Kaniewska, osiemdziesięcioletnia siwa staruszka w różowej podomce do kolan, poderwała się z fotela. Zwykle na nim siedziała i od rana do późnego wieczora bez cienia emocji oglądała program TVP na ekranie telewizora. Teraz przestała być wiernym widzem i na stojąco wpatrywała się w zdjęcie. Trzymała je w prawej dłoni tak blisko okularów, że niemal dotykała czarno-białej emulsji.

– Co ty jej dałeś?! – zapytała oskarżycielsko Elżbieta księdza Jana stojącego na tle okna z widokiem na podwórze i uważnie obserwującego przyrodnią siostrę.

Nie uzyskując odpowiedzi od brata bliźniaka, wyrwała z rąk Basi zdjęcie z 1948 roku. Ta nagle straciła cały impet. I znowu bez emocji, z delikatnie otwartymi ustami, w okularach na nosie rozglądała się jak bezradne dziecko, nie rozumiejąc, po co wstała. I dlaczego tak się uniosła.

– Już wszystko dobrze – zapewniła ją Elżbieta i bez oporu ze strony Basi głaskała ją po siwych włosach do ramion spiętych po obu stronach klamerkami w kolorze malwy, jak kwiaty na jej podomce. A potem ostrożnie posadziła staruszkę na fotelu.

Dopiero teraz, gdy sytuacja była w pełni pod kontrolą, zerknęła na zdjęcie. W odległym planie widać było dziewczynkę w mundurku harcerskim. Harcerka stała na molo i oparta plecami o barierkę, machała rękoma w stronę jeziora, jakby kogoś pozdrawiała, bo fotografię zrobiono od strony wody.

– Kto to jest? – zapytała brata.

– Basia – wyjaśnił ksiądz Jan.

– Basia? – powtórzyła ledwie słyszalnie Elżbieta. – Skąd to masz?

– Dostałem od brata Stefanii Raweckiej.

– Prosiłam cię, żebyś Basi w to nie mieszał.

– Tak, wiem – przyznał ksiądz Jan. – Ale to jedyne zdjęcie, które ocalało z topieli.

– To Stefa je zrobiła?

– Tak. Z pozostałych spłynęła emulsja i nic na nich nie widać. – Podszedł do siostry i wyjął jej zdjęcie z rąk.

– Dlaczego krzyczałaś? – Przykucnął na wprost Basi.

– Przestań! – warknęła Elżbieta.

– Kogo tam widzisz?

– Natychmiast przestań!

Posłuchał siostry i wstał. Basia wpatrzona w ekran telewizora znowu gdzieś odpłynęła.

– Gdzieś musi być jej pamiętnik. – Wsunął zdjęcie odebrane Basi do teczki, gdzie gromadził dokumenty w sprawie beatyfikacji Joanny Stawskiej.

– Jaki znowu pamiętnik?

– Wszystkie dziewczyny w klasie prowadziły pamiętniki. Wiem to od brata Stefy. Basia też na pewno taki miała.

– Nigdy nie widziałam żadnego pamiętnika.

– Może mama wtedy jej go odebrała i gdzieś ukryła?

– Po co ci to potrzebne? – Po chwili zrozumiała. – Chcesz Basię powołać na świadka? – Tak ją ten pomysł ubawił, że zaczęła się histerycznie śmiać. – Przepraszam. – Znowu pogłaskała Basię po głowie.

Basia już tego nie słyszała. Przebywała w swoim telewizyjnym świecie.

– Tam może być jakaś wskazówka, coś, co przybliży beatyfikację Joanny. – Nie miał zamiaru się poddać.

– Mhm... – burknęła pod nosem. – Napijesz się kawy?

Uznając, że Basi, która spokojnie siedziała na fotelu i oglądała dziennik telewizyjny, nic już ze strony przyrodniego brata nie zagraża, wyszła do kuchni.

– Na pewno nic nie wiesz o jej pamiętniku? – zapytał Elżbietę minutę później w kuchni.

Zajęta zbieraniem z posadzki potłuczonej filiżanki udała, że nie słyszy.

- To była ostatnia filiżanka taty Basi. – Wrzuciła potłuczone skorupy do kosza. – Bardzo ją lubiła.

- Odkupię jej taką samą – zapewnił.

- Gdzie?

- Widziałem podobne w desie na Piotrkowskiej.

- Podobne. Ale nie takie same.

- Nie zorientuje się.

- Mylisz się. Ona ma świetną pamięć. W przeblyskach. Są jak flesze, które nagle rozświetlają mrok.

- Może to był właśnie jeden z takich fleszy?

- Może – zgodziła się. – Ale potem zapada ciemność. I wszystko gaśnie – westchnęła. – Coraz z nią gorzej. Chyba dłużej nie dam rady. I trzeba będzie ją oddać do hospicjum.

Czekała, żeby coś powiedział, lecz daremnie.

- Masz tu kawę. – Wskazała filiżankę. – Jeszcze nie całkiem wystygła.

- Nie teraz, później wypiję.

- Później to będzie lura. – Bez emocji, ale prowokacyjnie wylała kawę do zlewu.

- Jeśli ten pamiętnik gdzieś jest, to tylko tam. – Zerknął w stronę pawlacza.

- Nikt tam nie zaglądał od pół wieku. Zrobiłam tu remont. Wymieniłam meble, kuchnię gazową na elektryczną, zlew – przypomniała mu tym samym, że mimo obietnic nie wsparł jej finansowo. – Ale ta żaluzja zawsze była zamknięta.

Podsunał krzesło z Ikei i wszedł na nie. A potem z dużym wysiłkiem dwoma rękoma udało mu się unieść drewnianą żaluzję zawieszoną od wewnątrz na metalowych szynach. Od lat nieotwierana, długo stawiła opór, zanim z piskiem schowała się

w suficie pawlacza. Stał na palcach i próbował zajrzeć do środka, ale nic nie widział. Czuł tylko powiew zakurzonej, stęchłej ciemności.

– Tam nie ma światła – próbowała go zniechęcić. – Nie wiem, gdzie jest latarka.

– Mam w telefonie. Ale krzesło jest za niskie.

– Zawsze podstawiałeś stół, jak tam wchodziłeś – przypomniała mu Elżbieta. – Kiedy to było...

Westchnęła i z filiżanką kawy wyszła z kuchni. Książd Jan przysunął kuchenny stół, potem ustawił na nim krzesło i wdrapał się na blat stołu. Nie było to łatwe, bo ostatnio nieco utył i wydatny brzuch był widoczny pod sutanną. Najpierw ukląkł na krzesło, zanim na nim stanął, przytrzymując się oparcia. Włączył latarkę w telefonie. Miał przed sobą otwór o szerokości siedemdziesięciu centymetrów, wysoki na mniej więcej pół metra. Kiedyś wchodził tu bez problemu. Ale teraz przy jego stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu i ponad dziewięćdziesięciu kilogramach wagi, do tego w sutannie, było trochę trudniej.

Po kilku próbach udało mu się wpełznąć do pawlacza. Do sufitu było za nisko, aby stanąć. Ale miał wystarczająco dużo miejsca, żeby się przemieszczać na kolanach. Pawlacz wypełniał powierzchnię nad całym przedpokojem. Miał ponad trzy metry długości i dwa szerokości. Dopiero teraz w pełni zrozumiał swój błąd. Pełno tu było kurzu, który zalegał od wielu lat, a teraz zaczął wokół niego wirować i ożywać w smugach światła latarki. Nie mógł powstrzymać kaszlu. A ten wzniewał wciąż nowe i nowe tumany pyłu, jakby ich pokłady nie miały końca. Wreszcie, przesłaniając usta i nos chusteczką, udało mu się go opanować. Omiótł snopem światła zakamarki pawlacza. Leżały tu całe

roczniki tygodników i gazet z czasów, kiedy czytanie należało do obowiązków inteligenckiego domu. Ich sterty równiutko powiązane sznurkiem tworzyły prawdziwy labirynt wysoki na metr.

Krążąc w nim na kolanach, mijał daty z końca lat czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, wreszcie siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Był tu „Przekrój”, tygodnik „Świat”, miesięcznik „Ty i Ja”. Potem pierwsze komiksy *Przygoda*, które sam kupował. Były też pełne komplety szkolnych podręczników zarówno ze szkoły podstawowej, jak i liceum. Wreszcie dotarł do zeszytów Basi, córki mamy z pierwszego małżeństwa ze scenografem Romanem Kaniewskim. Urodziła ją rok po zdaniu matury w 1935 roku. I zeszytów jej dzieci z drugiego małżeństwa z operatorem dźwięku Markiem Radliczem. Bliźnięta Elżbieta i Jan przyszli na świat niemal czternaście lat później, w kwietniu 1949 roku. Wtedy była już po trzydziestce. Mama znana była z pedanterii i wszystkie zeszyty jej dzieci, od pierwszej klasy szkoły podstawowej do ostatniej klasy liceum, leżały skrupulatnie powiązane w paczki, poukładane rocznikami. Wieńczyły je cenzury stanowiące dowód promocji do następnej klasy. Nie było tylko świadectw maturalnych. Te musiały być w papierach wysłanych przed wstępnymi egzaminami na wyższe uczelnie i matka nad ich brakiem bardzo bolała. Zawadził kolanem o pudło z zabawkami. Oświecił je. To były jego pluszaki, drewniane samochody i kolekcja żołnierzy. Osiadł na nich kurz. Przez chwilę chciał sięgnąć po ulubionego misia, ale zrezygnował.

Odsunął pudło i w snopie światła ujrzał skarby Basi. Dominowała tam imponująca kolekcja lalek różnej wielkości. Leżało tu też oderwane ramię z gipsowej figury wraz z prawą ręką, której dłoń oplatał różaniec. Ale najcenniejszy był jej pamiętnik.

– Zobacz, co znalazłem. – Pokazał Elżbiecie ramię z dłonią oplecioną czarnym różańcem.

– Nie pokazuj tego Basi! – syknęła Elżbieta, odbierając mu rękę z różańcem. Potem w mrocznym przedpokoju otworzyła drzwi do garderoby i umieściła tam zdobycz.

– Co to jest?

– Fragment figury Matki Boskiej. Basia przywiozła ją po powrocie z topieli.

– Skąd to wiesz?

– Od mamy. Ukryła ją przed nią.

– Dlaczego ją ukryła?

– Widocznie miała powody – burknęła pod nosem i wyszła z przedpokoju.

– Pamiętnik też znalazłem. – Chciał go wyjąć z kieszeni w sutannie.

– Jak ty wyglądasz! – syknęła Elżbieta, kiedy ksiądz wszedł za nią do stołowego.

Zerknął w lustro. Całą sutannę od góry do dołu oblepiała warstwa kurzu. Zaczął go strzepywać.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła. – Wszystko mi zakurzysz.

Na stole leżał brystol z jej malarskimi próbami. Na emeryturze wróciła do malarstwa. Specjalizowała się w martwej naturze. W technice akwarelowej.

– To co mam z tym zrobić?

– Jak to co? Idź na balkon i tam wytrzep sutannę.

Z gabinetu ojca, kiedyś z masywnym biurkiem, wyszedł na balkon na pierwszym piętrze kamienicy, którą w latach Łodzi filmowej, bo mieściła się tu największa w Polsce Wytwórnia Filmów Fabularnych, ze względu na mieszkańców nazywano Domem

Filmu Polskiego. Przylegała do drugiej kamienicy i tworzyła z nią dwa skrzydła narożne na rogu ulic Narutowicza i Lindleya. Niżej było podwórko, na którym nauczył się grać w piłkę, a na wprost, na pierwszym piętrze sąsiedniej kamienicy, mieścił się gabinet stomatologiczny, w którym wyrwano mu pierwszy ząb. A właściwie wydlutowano go, bo ukruszył się w trakcie zabiegu.

Rozejrzał się. Nie było żadnych świadków na podwórzu, które kiedyś tętniło życiem. Nie było ich też na balkonach. Zdjął sutannę i przez nikogo niepodglądany wytrzepał ją z kurzu, po czym ponownie włożył i wpatrzył się w balkon po lewej stronie, gdzie kiedyś mieszkał jego kolega z klasy, syn znanego reżysera. Po maturze popełnił samobójstwo, skacząc z dziesiątego piętra wieżowca na pobliskiej ulicy Uniwersyteckiej. Czekał na choćby najmniejszy znak od Jacka z tamtej strony, ale minęło już pół wieku i nic.

– Mam twój pamiętnik – powiedział, machając nim w dawnej sypialni rodziców w stronę Basi, która w okularach na nosie siedziała na fotelu, jedynej pamiątce po ojcu, i oglądała telewizję.

– Tylko jej go nie pokazuj – nakazała Elżbieta.

Właśnie wyszła z łazienki ulokowanej za sypialnią i zmierzała w stronę brata. Było jednak za późno, bo Basia już zobaczyła swój pamiętnik.

– Podejrzałam je – zaczęła chichotać.

– Kogo? – zapytał ksiądz Jan.

– Ciii... – syknęła Elżbieta. – Ona cię nie słyszy.

– Myślały, że śpię. A ja wstałam. I poszłam za nimi. – Ponownie zachichotała, po czym nagle stała się poważna. – Widzę to.

– Co, Basiu, widzisz? – Nie umiał się powstrzymać.

– Źródółko Objawienia i figurę Matki Boskiej.

– Gdzie to jest?
– Ciii... – syknęła ponownie Elżbieta i zakryła mu usta.
– Joanna wtedy powiedziała: „Będę krótko żyła. A ty długo. I przyjdzie czas, że cię powołają na świadka w sprawie mojej beatyfikacji”.

– Do kogo Joanna tak powiedziała? – Rozgorączkowany oderwał od ust rękę Elżbiety. I pochylił się nad Basią.

Popełnił błąd. Zbliżył się za bardzo. Basia to wykorzystwała. Błyskawicznie wyrwała pamiętnik z rąk Jana i wsunęła go pod swoje siedzenie. Potem znieruchomiała i zapadła ponownie w letarg.

– Nawet nie próbuj – ostrzegła go Elżbieta. – Teraz już go jej nie odbierzesz.

Pokiwał głową. Wiedział, że Basia nie odda pamiętnika.

– Naprawdę się tego podjąłeś?
– Dlatego po czterdziestu latach wróciłem do Łodzi.
– Nie wiem, czy to dobry pomysł.
– Tak uważasz?
– Źle mnie rozumiesz. – Nie bardzo wiedziała, jak z tego wybrnąć. – Chodzi mi o to, że zgodziłeś się zostać postulatorem.

Zrobił dłonią wymijający znak, jakby chciał powiedzieć, że to nie do końca jest tak.

– Postulatem zostaje się na innym etapie. Moim zadaniem jest właśnie do tego etapu doprowadzić.

– Ale skoro się tego podjąłeś, to w to wierzysz. W to, że Joanna zostanie wyniesiona na ołtarze? – Elżbieta nie ustępowała. – I uznana za świętą?

– Nie rozpędzaj się. Wyniesienie na ołtarze to długa droga. Czasami bardzo długa. Święty Jacek, do drugiej wojny światowej

patron Polski, czekał na to trzysta lat. Choć dokonał tylu cudów za swojego życia i po śmierci. Wszystkie są dokładnie spisane. – Znowu poniosły go emocje i aby je opanować, zrobił krótką pauzę. – Wcześniej jest beatyfikacja. Żeby procedura beatyfikacji Joanny została uruchomiona, potrzebne są twarde dowody. Jestem na etapie ich zbierania.

- I co teraz zamierzasz?
- Zamierzam się z nią spotkać.
- Z kim?
- Przecież wiesz z kim.
- Z Ewą Kowalską? – Liczyła, że zaprzeczy.
- Z Ewą Kowalską – powtórzył.
- To chyba nie jest dobry pomysł. – Robiła wszystko, żeby go zniechęcić.
- Jest jedynym świadkiem.
- To nie jest dobry pomysł – powtórzyła, wychodząc z sypialni.